Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 36. Poznań, dnia 7. Września. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Wyjątki z nowego tłómaczenia Szekspira S. Koźmiana.

SEN NOCY LETNIÉJ.

Akt II. Scena I.

Puk i jedna z wieszczek.

Puk. Dziś tu król nocne wyprawia igrzyska;
Strzeż by mu w drogę nie zaszła królowa:
Wściekły Oberon ze złości się ciska,
Że ona sobie jako pazia chowa
Królowi Indian skradzione pachole;
Takiéj pieszczotki jeszcze jéj nie stało:
Ale Oberon zająć go chce w kole
Swego orszaku leśnych wypraw chwałą.
A ona gwałtem trzyma lube dziecie,
I z nim się pieści, na skroń wieńce plecie.
Teraz gdy zejdą się w gaju, na łące,
Przy czystém źródle, pod jasnych gwiazd tonią,
Wnet kłótnia wzrasta, tak że elfy drżące
Ze strachu w kubki żołędzi się chronią.

Wieszczka. Jeźli twa postać i układ pozwoli
Zgadnąć kto jesteś, tyś to duch swawoli,
Robin dobry-druch. I gdy się nie mylę,
Ty to wieśniaczkom płatasz figlów tyle,
Zbierasz śmietankę, w żarnach stroisz harce,
Masła nie dajesz wyrobić mleczarce,
Drożdże i pijanę umiesz wykraść z trunku,
W noc zwieść wędrowców, szydząc z ich frasunku;
Kto Hobgoblinem, miłym Pukiem zwie cię,
Temu usłużysz, dasz szczęście na świecie.
Wszak zgadłam?

Puk. Zgadłaś. Ja kiedy dzień skona,
Nocny wędrowiec, dokazuję cuda;
Ja prawię żarty, śmieszę Oberona,
Gdy mi spasłego konia zwieść się uda,
Rżąc jak klacz młoda. Czasem znów mnie plotka,
Na dnie swéj szklanki skrytego napotka
Jako pieczone jabłko, i gdy pije
Ja tuż wypadnę, po ustach ją utnę
I piwem zleję jéj wywiędłą szyję.
Gdy mędrek ciotka prawi dzieje smutne,
Często mnie weźmie za trójnożny stołek,
Ja trójnóg umknę, ona bęc o ziemię,
Ksztusi się, kaszle, krzyczy: krawiec! klnie mię.
Od śmiechu pęka grono przyjaciołek,
Rozochocone kicha i przeklina,
Nigdy im milsza nie przeszła godzina.

Scena V.

Królowa wieszczek wchodzi z orszakiem.

Tytania. Tańczcie, śpiewajcie, potém precz przed trzecią
Częścią minuty, — jedne pójdą obrać
Pączki róż z liszek, — drugie nietoperzów
Odrą ze skrzydeł skórzanych na szaty
Mym drobnym elfom, — inne znów odgonią
Krzykliwą sowę, co w noc huka naszym
Duchom się dziwiąc. Teraz mnie uśpijcie
Piosnką, a potém do pracy, ja spocznę.

Wieszczki śpiewają.

Pierwsza wieszczka. Pstry wąż z żądłem dwu-języka,
Jeż kolczaty niech ztąd zmyka,
Niech zdala padalec, żmija,
Naszą królowę omija.
Filomelo! Ty powaby
Dźwięków uroń w twe lullaby,
Lulla, lulla, lullaby,
Lulla, lulla, lullaby.
Niech ją dłoń nietknie niczyja,
Urok mija i czar mija,
Gdy ją snu zwiążą powaby.
Więc na dobranoc lullaby.

Druga wieszczka. Precz ztąd przędzące pająki,
Precz ztąd długonogie tkacze.
Czarny chrząszcz niech tu nieskacze,
Robak, ślimak, precz z téj łąki!
Filomelo! ty powaby etc. etc.

Akt III. Scena IV.

Puk opowiada, jak spodkowi przyprawił głowę oślą, i jak Tytania, w któréj oku Oberon złożył urok taki, że miała się pokochać w pierwszém stworzeniu, które jéj po zbudzeniu się ze snu oczarowanego wpadło w oczy, wzięła owego osła za kochanka.

Oberon. Ot i mój poseł. Cóż duchu szalony,
W zaklętym gaju jakież hasło, wieści?

Puk. Ma pani kocha poczwarę i pieści.
Przy jéj altance skrytéj, poświęconéj,
Gdy ją sen ujął gnuśnemi ramiony,
Banda łachmańców, rzemieślników, chamów,
Co na chleb robi śród Ateńskich kramów,
Przyszła odegrać tę sztukę dla próby,
Co ma uświetnić Tezeusza śluby.
Największy ciura z téj gawiedzi pustéj,
Co grał Pyrama w jéj gronie wesołém,
Zeszedł ze sceny i wlazł między chrusty,
W téj sposobności ja go wraz ująłem,
I wnet na głowę wsadziłem łeb osła.
W tém Tizbe w roli do niego głos wzniosła;
Wchodzi mój mimik. Gdy obaczą jego,
Jak dzikie gęsi, gdy strzelca spostrzegą,
Lub jak pstro-głowe kawki stadem całém
Wzlatując, kracząc za strzelby wystrzałem,
Pierzchną w szaleństwie po niebie do koła,
Na jego widok tak pierzchła gromada;
Jam tupnął, jeden po drugim upada,
I krzyczy: Rozbój! i do Aten woła.
Ich duch tak słaby, tak wielką bojaźnią
Sprawia, że rzeczy nieżywe ich drażnią;
Rwą za ich odzież i głogi i ciernie,
Rękawy, czapki gubi gawiedź sama;
Jam ich w tym strachu gnał niemiłosiernie,
Lecz zmienionego wstrzymałem Pyrama.
W tém, tak los zdarzył, ze snu się podniosła
Tytania i wraz pokochała osła.

Koniec aktu III.

Oberon zapowiada rozwiązanie sztuki.

Oberon. Patrz! na bój miejsca szukają rywale,
Spiesz więc, Robinie, zasuń noc w chmur fale,
Gwiaździste niebo skryj zaraz w osłonie
Dżdżystéj mgły, czarnéj jak toń w Acheronie
Butnych kochanków tak rozgoń na strony,
By jeden niezszedł drugiego śród drogi.
Czasem Lyzandra udaj język srogi
I w Demetriuszu obudź gniew szalony,
Znów jak Demetriusz najgrawaj się szczerze,
I tak ich obu rozegnaj do koła,
Aż snu, jak śmierci, skrzydło nietoperze,
Z ołowiu stopą wlezie im na czoła,
Wtedy w Lyzandra oko z tego zioła
Uroń sok, który tak dziwnéj jest cnoty,
Że zeń swą siłą wszelki błąd zabierze,
Z dawnym wzrokiem poruszy ócz zwroty.
Gdy znów się zbudzą, czczem tylko widziadłem
Snem im to całe zda się obłąkanie;
Wrócą do Aten kochankowie stadłem
Zgody, co chyba aż z śmiercią ustanie.
Kiedy ta sprawa zajmować cię będzie,
U méj królowy wyproszę to dziecko;
W więzach poczwary ujęte zdradziecko
Uwolnię oko. Pokój błyśnie wszędzie.

Puk. Mój wieszczy Panie! działajmy bez zwłoki;
Już wskroś tną chmury szybkie nocy smoki.
Jutrzenki zwiastun tam świeci zdaleka;
Przed nim do domu na smętarz ucieka
Tłum błędnych duchów. Już wszystkie upiory
U dróg rozstajnych — w wodach — pogrzebane
Poszły na łoża robakami słane,
Aby ich wstydu niezszedł dzień zbyt skory.
Oni przed światłem kryją się ochoczo
I wiecznie w czarnych cieniach nocy kroczą.

Oberon. My duchy wyższą naturą się mienim,
Jam nieraz igrał z poranka promieniem.
Jak leśnik, mogę ja błądzić przez knieje,
Aż brama wschodu, jak ognista łuna,
Rzuciwszy błogie światło na Neptuna,
Słoną zieloność w żółte złoto zleje.
Lecz jednak spiesz się, nie zwłócz, bo się żwawo
Możem przededniem uwinąć z tą sprawą.

Puk. Dołem górą, górą dołem,
Popędzę ich górą dołem,
Mnie się boi miasto z siołem,
Goblinie, goń górą dołem,
Ot już jednego ująłem.

Akt V. Scena I.

Tezeusz i Hippolita.

Hippolita. O jakże dziwna powieść tych kochanków.

Tezeusz. Dziwniejsza niżli prawdziwa. Nie wierzę
Tym starym baśniom, tym wieszczym mamidłom;
Kochanek, warjat, ma tak mózg kipiący
Imaginacyą tak płodną, że stwarza
Więcéj, niż zimny rozum pojąć zdoła.
Warjat, kochanek, poeta, jednacy
Są wyobraźnią. Jeden widzi więcéj
Duchów niż wielkie piekło objąć zdoła,
To warjat. Wściekły kochanek tak widzi
Piękność Heleny na czole Egipskiém.
Poety oko biega wieszczym szałem
Z nieba do ziemi, a z ziemi do nieba.
Gdy wyobraźnia zarysy nieznanych,
Przedmiotów skreśli, w kształty je obleka
Pióro poety i wietrznéj nicości
Daje miejscowy kolor i nazwisko.

Scena III. Koniec sztuki.

Puk mówi do publiczności:

Gdyśmy zgrzeszyli, my cienie,
Wnet naprawicie rzecz całą,
Myśląc że się tylko spało,
Gdy się snuło to widzenie.
Ten czczy przedmiot, liche baśnie,
Co się tylko kończą na śnie,
Nie gańcie; gdy przebaczycie,
My to odpłacim sowicie;
A jakem Puk znany z cnoty,
Jeźli szczęściem, nie zasługą
Dziś nas miną wężów groty,
Nagrodzim wam niezadługo,

Lub Puk jest dziecie zwodnicze.
Tak, dobréj nocy wam życzę.
Klaśnijcie, gdyście laskawi,
A wnet Puk się lepiéj sprawi.

(Dalszy ciąg wyjątków później nastąpi.)

Londyn 1840.

Literatura krajowa.

Poezya.

*Fantazya do E****
na górze Bronisławy.

Wieczór — szliśmy razem oba.
Dwaj młodzieńcy z otwartém sercem w świat szeroki.
Jaka sprzeczność! — dzień, zmroku okrywa żałoba;
A myśl, blyszczy jak gwiazda przez ciemne obłoki.
W koło świeża przyroda, jak na ucztę strojna
Usypia zapłoniona, — czyż taką się zbudzi?
Tak jak dusza młodzieńca jutrem niespokojna,
Namiętna i miłośna nadzieją się łudzi.

Na południe Karpaty jako olbrzym leżą,
A głowa jego siwa w szkarłatach zachodu,
Biodra w cieniach zamroku lasami się jeżą,
Nogi wyciągnął — jakby po przejściu zawodu
Spoczął, wzmacniając się w siłach,
Do nowéj walki zburzą na wieków mogiłach.

Tutaj Wisła złotołuska
Objęła płomienistą wstążką bór zielony,
I jak wąż w gęstych splotach, to dolinę muska
Chłodną piersią, — to znowu w bok skały omszony
Uderzy zapieniona i w cienie zapada;
I daléj znowu błyszczy błękitnawa, blada,
I marzy o przeszłości, — jako młoda wdowa
Po wielkim mężu, blaskiem jego chwały strojna;
Rozlewa się spokojna, jasna, purpurowa,
I znowu w skał łożysku burzliwa i szumna.

Daléj — wyżéj — patrz na okół,
Tam wsie porozrzucane jak ogrodów kępy;
Daléj jako lotny sokół,
Oko poleci z nurtami potoku,
Za błękitne lasów strzępy,
Aż się oślepi w słońca palającym wzroku.

Tam — śpi miasto po burzy codziennego życia,
Jakby senne widziadło spokoju, gdy łodzią
Miota burza rozpaczy o skałę rozbicia,
I szumi namiętności na jawie powodzią.

Wyżéj — powietrze tu czystsze,
Świeżość całego świata roskoszą powiewa;
Tu i oddech wolniejszy, i myśli ognistsze,
Tajemny urok, cisza w tęskne serce wlewa

Tak lubo! — tak miło!
Myśl leci bez myśli po świecie,
A serce spokojne — wesołe — jak dziecię
Tak miłośnie uderzyło,
Jakby mu się co przyśniło
O milszym, piękniejszym świecie!

Chodźmy ztąd, chodźmy! — tu chęć śmierci wieje,
Tu nie jestem panem siebie,
Jeden wystrzał — a ziemię wrzącą krwią poleję,
I mózg jak nawóz porzucę na glebie!

Noc niedługo zagadnie, — i dzwonek natrętny
Z kaplicy pustelnika ciszę świata zmącił,
Harmonią natury zfałszował, i strącił
Wzlatującego ducha, w świat brudów namiętny.

Patrz — spadła gwiazda przez niebios stopy,
Jakiś tam świat diabli wzięli!
Może kiedyś i ziemia pierzchnie nam z pod stopy,
W tuman kurzu się rozdzieli,
Miast tysiące jak dymy wioną w noc milczącą,
A ktoś tam, widząc z gwiazdy gwiazdę spadającą,
Powie wpół-śpiący:
«Jakiś tam świat diabli wzięli!»
I uśnie marząc o nieśmiertelności! . . .

r. 1840. *E. Wasilewski.*

Wyjątki z najnowszéj powieści M. Czaykowskiego:
KOSZOWATA.
(Dalszy ciąg.)

Wicher po swojemu zawył, konary dębów dziko-ponuro zaszemrały — i kozakowi zdało się, że to szatańskie pośmiewy z jego niewoli, z jego sromoty, jakby na wtór im zanucił w myśli: na pohybel, na pohybel! — wrażym ludziom, co bratnie karki w jarzmie niewoli i sromoty gniotą — i ręką sięgnął do pasa, czy serce, czy nóż chciał dłonią przycisnąć. — Wtém z jarugi głos rzewny, taki jak matki za straconém dziecięciem zawył — a za nim ze wszech stron korowodem wycia zapłakały, zaskumlały. — Konie zachrapały i zatchnęły się w miejscu. — »To ostatni jar do przebycia, za nim step, mnogie futory, daléj Koszowata.« — Iwan krzyknął: »Wilcy!« i lejcem targnął konie. — Starosta porwał się do sztucca. — Marya przeraźliwie, boleśnie zawołała: »O Boże, mój Boże! — moje dziecko!« W strachu przypomniała dziecinę swoję, malutkiego synka — nie o siebie się lękała, tylko o to, żeby go na tym świecie, w niemowlęctwie sierotą nie zostawić. — Maxym porwał za lejce — obrócił się: »Pani nie bój się — cicho, — Panie mierz, a nie strzelaj, — ty Iwanie dobądź krzesiwa, krzesz ognia, a nie krzycz.« Z cicha cmoknął i lejcami trącił konie. — Konie po-

znały, że ręka, co niemi kieruje, ani na włos drgnęła — szły stępo, powolnie — żaden chrapnąć nawet nie śmiał. — O, jest w człowieku siła ducha, co bez słowa, bez podniesienia ręki tchnie w zwierza i odwagę i ślepe posłuszeństwo.

Spuszczali się nad jar, a jeszcze wilków widać nie było — wycia ustały, — kiedy nagle z za dębu jak dwie świece błysnęło; — powyk zaskumlał, nawet zdało się słyszeć klaśnięcie zębów — i w duch z jaru wyskoczyła czereda, iskrząca oczyma, klaskająca zębami — stłumionym a okropnym powykiem skamląca — kity do góry wzniesione, paszcze rozwarte, blaskiem księżycowym i odbielą śniegu na olbrzymy porosłe, — poskakują ku saniom.

Staroście i Iwanowi czapki rosną, włosy szczeciną stają, jak na drożdżach, — Marya oczy zamknęła i osunęła się w sanki, — Maxym spojrzał po nich, żeby im otuchy dodać swoją śmiałością: »Iwanie krzesz ognia — panie nie strzelaj, a mierz ciągle, — pani niebój się — wszystkiego tylko siedem.«

Konie drżą a idą stępą, — starosta mierzy to w prawo, to w lewo, Iwan ogień krzesze, a krzesze, — wilcy do koła sani skaczą, a wszystko w oddali — to wykacują się po śniegu, jak dla igraszki, i pył śniegowy w powietrze pomiotą — to skaczą ku saniom, aż do calca ziemi pazurami zadrapią i śniegowym wichrem pozad siebie wyrzucą — staną i patrzą, a w zęby klekoczą.

Już z jaru pod górę konie raźno a wolno wyciągały sanki, kiedy widno wilczyca z zjeżoną szerścią na karku, z rozdziawioną paszczą, sunęła się ku saniom — i jak rozhukany koń, kiedy go silna ręka osadza w miejscu, w posuwitszych podrygach zatrzymywała się. — Maxym krzyknął: »Panie, nie strzelaj!« — A tu z tém słowem huknął strzał, — wilczyca szczęknęła — wilcy zaskamleli, i razem posuwali się w podskokach ku saniom. — Marya wrzasnęła: »Maxymie, ratuj! ratuj!« i ręce ku niemu wyciągnęła. — Maxym spojrzał na panią, oddał Iwanowi lejce, wychwycił nóż z zapasa i skoczył z sani w śnieg, wołając: »Ruszaj! ruszaj co tchu!« — Konie w czwał pomknęły. — Marya wołała: »Ratujmy — ratujcie! — Boże! Boże!« — i całą postacią z sanek się wysuwała. — Mąż ją wpół ujął i krzyczał: »Ruszaj! ruszaj!«

W tém miejscu, gdzie skoczył Maxym z sanek, wzniósł się tuman śniegowy, za nim i wilków i Maxyma widać nie było, tylko majaczał jak cień jaki wierzchołek dębu. — Konie mknęły czwałowémi skokami, a step przed niémi uciekał i z niémi w przegony gonił — i one od stepu uciekały. — Iwan lejcami nie władał — konie same czwałowały, a starosta nadarmo wrzeszczał: »Ruszaj! ruszaj!« — Marya omdlona nie wyrywała się z jego objęciów i słowa już nie mówiła.

Kiedy zajechali do Koszowaty przed bramę, na głośne szczekanie psów i głosy warty, rządca i służba wybiegli naprzeciw. — Starościna przyszła do siebie i błagała męża: »Ratuj Maxyma!« — Starosta dawał rozkazy, a rządca pomrukiwał: »Jeden cham mniéj, to mniejsza o to — chwała Bogu, że państwo cali.« —

Marya pobiegła do komnaty dziecięcia — z kolebki je wyjęła: »Mój aniołku, tyś jemu winien matkę i ojca, módl się za nim, módlmy się.« — Dziecie kwiliło — a Marya, jakby ono rozumiało, ciągle powtarzała: »Módl się, módlmy się!« i modliła się za Maxyma.

II.

Szczo czort zrobyt, to czołowik neodrobyt! — — gadka gminna. —

Po odjeździe państwa Starostwa z Kruto-horbów Niemirycz z panem Stanisławem, wymawiając się zbytniém utrudzeniem, gdyż tego dnia zrana przybyli z Bohusławia, a choć wojacy, zdrowia u nich nie kamienne, oddali dobranoc i poszli na ekonomią spać — ale spać się nie położyli — wskoczyli na już posiodłane konie, za nimi kopnęło trzech wiernych kozaków pana cześnika — a zbrojni w strzelby i spisy ruszyli śladem sanek państwa starostwa. — Niespodziewali się oni żadnego niebezpieczeństwa, przynajmniéj nie przeczuwali go na pewne; od wieków wilcy snuli się i snują po kozaczéj Ukrainie — a jednak ludzie jeździli i jeżdżą tak dobrze w nocy, jak i w dzień po stepach i po puszczach — i wilków się nie boją, — ale pan Niemirycz Owrucki, szlachcic z tego to rycerskiego szczepu, co przy boku nosi szablę ku obronie wiary, ojczyzny i niewiasty. On bez niewolnéj myśli, bez nieczesnego celu stawia na grę losu swoje życie, byle pokazać niewiastom, że to dla nich — i teraz chce powiedzieć starościnie: choć mi zakazano, czuwałem nad panią.

Z mogiły na mogiłę między dęby i po nad jarugi, szły konie trop w trop za śladem połozów — wyciągały szyje, głowy wnurzały ku śniegowi, poprychiwały nozdrzami i nie myliły drogi. Ale ta zygzakowa krętanina śladu, nie w smak jeźdźcom, kłusowali, a sanek zajrzeć nie mogli, choć na bieliźnie śniegowéj i jasno i daleko widać. Przy świetle księżycowém, przy śniegowéj bieli oczy w obłęd wpadają — gdzie spojrzeć zdaje się, że wszędzie rysuje się drożyna. Gwałtem konie zwrócili na bezdroże i kopali śniegiem — darmo kozacy mówili: »Panowie, puśćmy na wolę koniom, one lepiéj widzą, jak my.«

Raz zjechawszy ze śladu już nań wrócić nie mogli, brnęli ku Koszowackiemu stepowi — a jeden z koza-

ków im powodyrował, sam kierując się od prykmety do prykmety. — Wtém w lewo w oddali huknął strzał, i cicho — chwilkę chwycili uchem posłuch — wiatr wyje, konary szemrzą, i nic więcéj — na daleko zarzucili wzrokiem — księżyc świeci — szarzeją dęby — a śnieg polatuje. Kozak powodyr zawołał: »Nad atamańskim jarem!« i konia w poskoki wypuścił. — Czteréj jeźdźce za nim poskoczyli — sadzą uboczą, śniegiem po za siebie miotą — strzelby chwycili w ręce, a wzrokiem przed siebie rzucają het daleko i nic nie widzą. — Niemirycz i Stanisław konie bodzą, naprzód powodyrskiemu koniowi zaskakują. — Kozak powodyr dźga szkapę nahajem — »Panowie nazad! — nie bałamućcie prykmetę!« — Tu nagle wszyscy zawołali: »Wilcy! wilcy! hatju! ha! ha!« i konie przypuścili na wyparcie ducha. — Jak niesforne charty, pojmawszy zająca zdala od szczwaczów, ciągną go w prawo i w lewo, rwą na szmaty — tak wilcy po nad jarugą szamocą jakąś pastwę — ale nie wszyscy — dwa czy trzy niby strażnicy pod dąb podskoczyli.

Już — już dolatują jeźdźce, wypalili ze sztucców i zawrzeszczeli gromko razem na postrach o mało rozjuszonych wilków kopytami końskiémi nie pomiażdżyli. — Wilcy rozkoczyli się na stronę, zazarzyli iskrzącémi oczyma, zaskamleli żałośnie i posunęli w jarugę.

Złażą z koni — podnoszą, — burka kozacza poszarpana w szmaty i kawałki kozaczéj czapki — rozpatrują — aż tu z dębu zsunął się w śnieg kozak, i stanął między nimi — niby zmartwychwstały Ataman z mogilnika, — ani przestrachu, ani znużenia, ani radości na jego twarzy — »Héj ojcowie! dajcie konia — żeby tam państwu czego złego się nie stało « I nie czekając odpowiedzi, porwał za najpierwszego konia, zarzucił cugle, wskoczył na siodło, i z kopyta dernął w step, — nikt mu nie śmiał powiedzieć: nie bierz albo poczekaj. — Czteréj jeźdźce koni dosiedli i za nim czwałem kopnęli. — Mykita pozostał, zamruczał: »Djabeł, nie chłopiec — rodzony Ataman.« Po gałęziach wylazł w pół dęba i patrzał. Bez czapki, bez burki Maxym po przodzie sadzi, w prawo, w lewo wykręca się na stepie — a koń tak wyskakuje, że aż lubo widzieć — czteréj jeźdzcy co duszy w koniach prą — a jednak Maxym od nich się odsuwa, jak od stojących. »Oj chłopiec, mi to chłopiec — djabeł porwie wronego — ale ani on, ani jego ojciec tak nigdy nie biegał — co chwat, to chwat — oj kiedyb takiego atamana Ukrainie.« — I wronego nie żałował i zimno mu nie było, bo patrzał na rodzimego kozaka, i rozpanoszała w nim kozacza dusza.

Na dedniem Pan Stanisław Niemyricz powrócili do Kruto-horbów i zaraz rozpowiadali Cześnikowie całą przypodę — rospowiadali o niebespieczeństwie córki, o czynie Maxyma — jak on poborukawszy się troche z wilkami, zostawił im byrkę i czapkę, a sam na dąb się wdrapał — drwił z wilków i dumał o państwie.

Wlecie Woszmość Panowie — rzekł Trzeciak — że to jakiś niesamowity człowiek, ja dosyć już lat nażyłem. — Zwiedziłem kawał świata, a przyznam się ńe słyszałem tylko iż tacy odzajdusze są do dziś dnia na Zaporożu. — Kto wie, może on i z Zaporoża — powiedział Podkomorzy. — I skądźeby Wojewoda stamtąd wydobył, jak wieść niesie Wojewoda nie w dobréj zgodzie z Zaporożem. — Cześnik wstał nagle i wyszedł z komnaty — a kiedy żona szła mu dawać wiedzieć iż zastawiono do śniadania — zastała go klęczącego przed Obrazem Matki Najświętszéj i odmawiającego w głos modlitwę ąa dusze zmarłych.

Po śniadaniu którego Cześnik ani tknął nawet, bo tylko udawał dla zaspokojenia żony, i dla zachęty gości — że napił się wódki i przekąsił troche — zaprosił pana Sędziego i pana Rotmistrza do swojéj osobnéj komnaty — zamknął drzwi i zasuwką zasunął. — Rotmistrz z Sędzią spojrzeli się po sobie — Cześnik usiadł. — Ufny w Waszmość panów przyjaźni i dawną zażyłość, postanowiłem prosić ich o przyjacielską posługę, a razem powierzyć im jeden przypadek mojego życia — zasumował stary, nawet głową pare razy poruszył — żebyście niąpomyśleli że na podejrzeniu buduję rzeczy. — Mości Cześniku, możesz na nas rachować jak na samego siebie, pewni jesteśmy, że niezarządzasz rzeczy przeciwnéj dobru ojczyzny, i uczciwemu mieniu człowieka. — Tak, tak, podchwycił Rotmistrz, jeszcześmy może spełna cały korzec soli niezjedli z sobą, ale najedliśmy już go się uczciwie — znamy się — mów Wacpan panie Cześniku; rozrządź niemi jak ci się będzie zdawało. — Bardzo Waszmość Panom dziękuję — o tem możecie być pewni, że nie ja bym chciał krzywdy kochanéj Ojczyzny; ja bym dla niéj dobytek, dzieci, żonę i siebie poświęcił — z torbami bym poszedł żeby jéj służyć — to nasza jedyna Matka. — Do starego Cześnika łza się cisnęła. — A uczciwość Waszmość Panów na szwank narażać niepoważyłbym się. — O Bopdaj to tak i zemną byli postępowali ludzie — ale potem o tem — teraz słuchajcie. — Słuchamy.

Przyjąłem za obyczaj żeby zięcia mojego kochać jako własnego syna, ale nienaprzykrzać się mu z radami — to by mogło oziębłość między nas wmieszać — wtenczas Bóg wie w coby się obróciło szczęście

mojéj Marji — zatrzymał się trochę, i podumał jakby szukał w myśli, on ma daléj powiedzieć. —

Rotmistrz zwyczajnie szczery i rubaszny, jak wojak, co nie w stolicy szablą ciągał po pańskich pokojach i po bruku — ale przeżył połowę wieku na bójkach z wrogiem, albo na straży od dżumy — częścią pod gołem niebem, jak pod dachem, chciał Cześnika z kłopotu wyprowadzić — pomuzkał wąs. — Cóż to pani Starościna nieszęśliwa z panem Starostą. — A broń Boże, ja tego ani mówię ani myślę — o inną tu wcale rzecz idzie; Waszmość Panowie wiecie że Pan Szymon wzrosł pod okiem starego Wojewody — i był mu najulubieńszym ze wszystkiéj młodzieży, wplątał on i mnie w różne sprawy, ale o tem wam zaraz powiem, jakoż ja go odciągnąłem od pańskiego dworu. — Król Jegomość nadał mu tytuł Starosty koszowackiego, i Bogu dzięki własnemi pieniędzmi płaci dzierżawą Koszowaczyzny — alę choć Bogu świętemu wiadomo jakie prawo mają, ci co ją przedają. — Młody Wojewodzic Kijowski nie takiego hartu jak stary, ale takiejże saméj dumy, znowu mojego zięcia ku sobie wabi, już powchodził w jakieś kupno Skibinice — i dziś albo jutro sam Wojewoda ma zjechać do Koszowaty. — Duma pańska to gorsza pijaństwa, kto dla niéj nawyknie, nieodwyka nigdy, i na nic nie baczy, żeby jéj dogodzić. — Boją się, żeby Pan Wojewodzic nieużył mojego zięcia do jakiéj roboty, coby zagroziła szkodą ojczyznie, a jemu przyniosła sromotę. — Mnie do Koszowaty jechać niewypada, ale Waszmość Panowie tam pojedziecie niby z przypadka, i tam jak będziecie umieli mogli, zatrzymajcie od złego — jeśliby co było.

Sędzia pogładził się po łysinie. — Pojechać, pojedziemy, ale dalibóg że niewiem czyto co pomoże — Wojewodzic zapewnie przed nami ze swojemi myślami nieotworzy — a Starosta nieusłucha. — Wojewodzic jeśli co ma w myśli to się wygada, a jak Waszmość Panowie mając na celu dobro ojczyzny zacznie- cie przekonywać że to niedobre, jeśli w saméj rzeczy niedobre — to pan Szymon dalibógże rozumie rzecz — on niebity w ciemie. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Obraz myśli mojéj na pamiątkę żonie i dzieciom, *przez Floryana Bachwica. Część I. i II. Wilno* 1838. *i* 1839. *r.*

(Ciąg dalszy.)

Nie podobna nam w zakresie pisma tego przejść krytycznie następnych artykułów téj części, nie będących nigdzie czczą gadaniną, ale przepełnionych myślami, acz rozbiegającémi się, obudzającémi przecież wszędzie interes i namysł. Zbieżamy do ostatniego rozdziału téj części, w którym dusza autora najmocniéj czuła, myśl jasno wejrzała w przedmiot, i dla tego pióro rzecz tak silném i gorącém ozdobiło wyrażeniem, tak przekonywające wylewało dowody. Autor tu dowodzi nieśmiertelności ducha i przyszłego żywota człowieka. Rozbieraliśmy dawniéj w tém piśmie filozoficzne zasady Trentowskiego o żywocie wiecznym. Tu w równoległi przytoczymy rozumowania p. Bachwica, żywą wiarą natchnione. Dostrzeże czytelnik jak myśl naszego autora, przewodnią gwiazdą wiary wiedziona, w te same strony rozumu uderza, z którego czysta abstrakcya dowody swoje czerpała. Następujący ustęp całą w tym przedmiocie obejmuje naukę.

«Z czystą wiarą, wspólną każdemu prostaczkowi, na grobie bliźniego, patrząc na jego zwłoki śmiertelne, sądzę, że ziemia powraca do ziemi, a duch wznosi się w świat duchowny. Ze skruchą i wzniesieniem myśli, na grobach zwyczajną, mówię pacierze i wzdycham do Boga za duszą nieboszczyka. Sąd też rozumu zupełnie zostaje zaspokojony w téj wierze. Przekonywam się, iż materya ziemna po śmierci i za życia człowieka ulega zawsze tymże prawom chemicznym, ciągle na nią działającym. Człowiek kilkadziesiątletni nie rzuca może ani jednéj uncyi téj saméj materyi w swoim trupie, jaką wyniósł z łona matki przy urodzeniu. Materya martwa codziennie w pokarmach przyjmowana, zmienia dawniejszą, na chwilę do processu organicznego przywołaną. Któż w materyi za pokarm służącéj może upatrywać cechy życia, myśli i uczucia? Równie nikt ich nie znajdzie w materyi, która związek z życiem straciła.

Materya przez ruch powszechny codziennie na świeżą w organizmie człowieka się zmienia, a pierwiastek życia trwa ten sam ciągle; owszem przez ruch myśli rozwija z siebie siłę i potęgę życia duchownego, nie zatraca się w nim myśl, pamięć, sumienie i uczucie moralne. Gdyby z materyi pochodziły, wedle zmiany pokarmów, codziennie byłyby inne i różnorodne, przerwałby się związek myśli i pamięci; starzec nie mający w sobie ani śladu materyi w jego organizm za młodych lat wchodzącéj, ani o jednéj chwili swojéj młodości pamiętaćby nie mógł.

Materya zawsze i jest i będzie tą samą we względzie swojéj natury; nic nigdy nie zginie z jéj własności, ani straci się z jéj ilości; bo nic w przyrodzeniu nie ginie. Tém więcéj nie może zginąć pierwiastek życia, rozkładowi chemicznemu nieuległy, cudowniejszy stokroć, i którego z sobą materya nie wciąga do grobu. Jest to niezachwiany artykuł wiary mojéj, że ten pierwiastek nic nie tracąc na swojéj duchownéj naturze życia, pamięci, myśli i uczuciu moralném, wznosi się w świat duchowny, mając byt nieśmiertelny, indywidualny.

Lecz jakie jest to życie? niespokojność wrodzona ciągle o to pyta i ze skwapliwością bada: tę więc wrodzoną skłonność śledzenia o losie przyszłym, uznaję za znamię niebieskie, dla myśli mojéj służące jako karta bezpieczeństwa, na trwożliwe okrzyki w uprzedzeniu powszechném zakazanych dociekań. Z czystém sumieniem wysnuwam myśl moją, z objawienia wewnętrznego, gdy mnie ku temu wrodzona od Boga pobudza ciekawość.

Człowiek w społeczności staje się jednostką, gdy lud jest całością; jest numerem, a lud summą; lecz nie taką jednostką, jak kropla wody summy wód oceanu, albo ziarno piasku całéj kuli ziemnéj; lecz jako jednostka potrzebna dla utworzenia summy stanowiącéj zkombinowany i obliczony wypadek losu całéj społeczności ludzkiéj.

Kropla wody nie wzniesie wałów oceanu, jedną kroplą nie przepełni się morze i nie zatopi krajów; ziarnem piasku nie przeciąży się ziemia i nie zachwieje się na swéj osi: a losy ludu często od jednostki zależą. Drakon, Minos, Solon, Likurg, albo Sezostrys, Konfucyusz i Mahomet, każdy z nich po osobno jako jednostka, prawodawstwem nadaném wpłynął na losy milionów ludu i na wieki lat; a nie jeden z nich, lubo ciałem rozproszony i zniknął, duchem jednak na ziemi niegdyś świecącym, dotąd jest znany, i jeszcze nakazuje usza-

nowanie i wpływ wywiera. Mojżesz w dziesięcioro Bożem przykazaniu, a Chrystus Zbawiciel w Boskiéj Ewangelii, póki świat istnieć będzie, aż do końca jego, na wszystkie pokolenia chrześciańskie dobrodziejstwa niebieskiego światła rozleją.

Między ogółem ludu, pokoleniami i szczególnym człowiekiem obecnie żyjącym, zachodzi wzajemny związek w niezliczonych i niedojrzanych ogniwach; tak, że każdy jest przyczyną, skutkiem, przykładem i naśladówcą w wielkiém dziele doskonalenia się wzajemnego. Postępki dobre lub złe każdego, odnosząc się do zasługi przed sobą samym, niosą przytém pewne skutki w postępie społeczności, albo na długo albo na zawsze pamiętne, albo choć przez jedno indywiduum doznane, i nawzajem każdy człowiek przychodząc na świat zbiera pożytki z doświadczenia, nauki i postępków ludzi i ludów od początku świata exystujących. Z tego stósunku jednostki do całości, a całości do jednostki, wywiązuje się wypadek, że jak się ma człowiek do społeczności, tak społeczność do tegoż człowieka. Nie ma dwóch ludzi na całym świecie, którychby uczucia, pojęcia i życie moralne były z sobą zupełnie podobne; owszem każdego osobny jest charakter uczuć, dążeń i doświadczeń, osobno w społecznem dążeniu stający się przydatnym. Dążenie tylko zmysłowe każdego jest jednostajne i ze wszystkiémi zwierzętami podobne, które zawadza i tamuje dążenie duchowne: z przyczyny więc związku nieskazitelności ze skazitelnością, życia ze śmiercią, to jest ducha z materyą, zupełne udoskonalenie nie na tym świecie, lecz chyba w przyszłym dokonać się może.

Na ziemi życie człowieka i myśl upływają z biegiem i ruchem powszechnym natury, zajmując pewny przedział ruchu czyli czasu, a ponieważ byt jego zajmuje w przestrzeni pewne miejsce, każdy więc czyn acz najdrobniejszy i najkróciéj trwający, jest zjawiskiem w czasie, czyli w ruchu obecnym tylko i w miejscu rzeczywistém, każda myśl i zdarzenie człowieka w samym akcie spojone będąc obecnie z czasem czyli ruchem w naturze obecnym, objawia się raz tylko na świecie widomym, a ominione przechodzi ze sceny tego świata i zapada w wieczność: bo czas obecny jest punktem przewagi z przeszłości w przyszłość. Ruch powszechny materyalnego świata dwóch chwil na tym punkcie zatrzymać nie może. Nie ma dwoistości w ruchu i czynach: co się stało, nie stać się nie może; każda chwila ruchu zapełnioną być musi rzeczywistym czynem. Gdyby można było rozwinąć kartę czasu, byłoby to tło, na którém przedstawiłyby się tysiączne obrazy i zjawiska, połączone z sobą ogniwami, z ruchu i okoliczności zrodzonémi. Na tym świecie cokolwiek przeminęło i zapadło w przeszłość, jest dla zmysłów już umarłe i niezwrótne: na zmyśle oka równie jak na kropli wody, lub kulce szklanéj, odbijają się obecne obrazy; znikają z nich na zawsze, za swojém ze świata zniknieniem i upływem obecnéj chwili, dając miejsca nowym obrazom i wydarzeniom. Zmysłowie żyje człowiek, jak zwierzę w chwili tylko obecnéj; gdyby więc nie miał w sobie ducha, obecna chwila ze zjawiskiem ruchu, i w niéj dopełnionego czynu, czyli obrazu, przeszedłszy ze sceny świata, zapadając w przeszłość wiekuistą, wiekuiście i niepowrótnie byłaby dla niego straconą; bo na świecie jest tylko ruch obecny, przeszły już nie jest na świecie, stał się już własnością wieczności. Wyobrażenie przeszłego ruchu istnieć tylko może zarysem w pamięci i myśli. Człowiek więc wyrobił w sobie na umyśle wyobrażenie czasu przeszłego i przyszłego: to jest, na tle duchownéj rozciągłości malują się w pamięci obrazy obecne i na wieki pozostają, aby późniéj, na każde skinienie ducha, mogły być przywołane, wydobyte i przedstawione z wyobrażeniami czasu i miejsca, z rysami doznanych wówczas uczuć, myśli i wrażeń. Pamięć omroczona za życia ziemskiego zmysłowością i materyą, zostanie oczyszczoną i wyjaśnioną w przyszłém: z mniejszą dokładnością w zwierciadle odbijają się przedmioty, niż ukażą się w pamięci wyryte obrazy świata, ludzi, wydarzeń i przeszłéj myśli własnéj, uczuć i postępków: nic z niéj stracone być nie może. W życiu zapomina niekiedy człowiek, lecz nie oznacza to startych i zniszczonych w pamięci rysów przeszłości, bo za usilnością lub naprowadzeniem okoliczności, może je przypomnieć, znaleść i odświeżyć; wynika to z tępości organów, czyli narzędzi materyalnych, usługujących duchowi, nie w każdym razie zdolnych głęboko przenikać się jego wolą. W przyszłém życiu każdego człowieka pamięć przeto najczystsza, ulegając władzy ducha na najmniejsze skinienia, nobecni czas przeszły; wiadomość niemylna uobecni przyszły; a uczucie, obecny. Duch zatém indywidualny zarówno żyć będzie duchownie w czasie przeszłym, obecnym i przyszłym; idea wieczności i czasu z-iści swą przepowiednię duchowi człowieka objawioną. Pamięć i wiadomość jest dla duchów przestrzenią i czasem.

Póki człowiek mało odstąpił od stanu zwierzęcego, dotąd tail się z lisią chytrością w swoich myślach i uczuciach: za rozszerzeniem oświaty, ludzie przekonawszy się, że obłuda zwykle poznaną bywa, uznali za rzecz rozsądniejszą unikać skrytości zwodniczéj. Dzisiaj w czynnościach umysłów wznioślejszych znajdzie się więcéj otwartości i szczerości: w przyszłém zaś życiu duszy nic skrytego i tajemnego być nie może, — jawność i wiadomość panować powszechnie muszą. Każdy duch widziany będzie takim, jakim jest rzeczywiście; wszystkie myśli, uczucia i postępki w pamięci w najmniejszych odcieniach wyrażone, będą widoczne i przeniknione. Tam pozna każdy żyjącą historyą całéj ludzkości; postrzeże nakoniec myśl ludu, po przejściu wielkich doświadczeń dla jego nauki potrzebnych, jaśniejącą promieniami prawdy, mądrości i cnoty.

Przez badania ludzi uczonych mamy w książkach niejako wyjaśnioną naukę o systemacie świata podsłonecznego. Lecz są inne światy: każda promienista gwiazdka jest słońcem świata osobnego. Są inne istoty dla oka zmysłowego niedostępne, są światy duchowne. W tych dzielach Wszechmocności, dokładniéj widzianych i pojętych, duch wyczyta bliższe poznanie szukanego Boga, wznieść się może mocniejszém uczuciem wdzięczności i miłości, i dokładniéj pozna swoje obowiązki. I gdy na tym świecie uczymy się poznawać co jest: w przyszłém życiu poznawszy to najgruntowniéj co jest, nauczą się duchy kombinować i wiedzieć z niemylną pewnością co będzie. Tym sposobem każdy duch w miarę pracy nad sobą i własnego przyłożenia się, będzie mógł rozwinąć ideje wrodzone. Widoczną bowiem wolą Bożą jest: aby człowiek winien był rozwinięcie wiadomości, udoskonalenie i szczęście swoje własnym trudem i zasłudze, i przychodził do wyższych pojęć przez kolejne i stopniowe rozwijanie idei. Człowiek wychodzący z ciemnego mieszkania, nie może spojrzeć nagle na światło słoneczne, to razi jego oczy; człowiek ciemny nie pojmie prawdy nagle mu objawionéj; prostak nie uwierzy nigdy, iż ziemia obraca się około słońca: trzeba na to rozwinięcia stopniowego jego umysłowéj wiadomości. Wyobrażam, że po śmierci ciała, duch nie zostanie natychmiast doskonałym, chociaż straci ziemną powłokę, że będzie na tém samém stanowisku pojęć i ukształcenia uczuć moralnych, na jakiém zostawał w życiu ziemném, mając tylko otwarte pole do następnego, kolejnego udoskonalenia się. Dziecię i człowiek z tępémi organami władz umysłowych, mający nierozwinięte za życia ideje, będą jeszcze w świecie pośrednim przechodzić przez te same wyobrażenia i podobne doświadczenie, przez jakie człowiek umysłowy i dojrzały w życiu ziemném już przechodził. Bóg będąc Wszechmocnym, może czynić wszystko, wszystko jednak tak urządził, aby skutki wypływały z przyczyn, a przyczyny z pewnych skutków. Na widomym świecie zdają się być ustanowione pewne koła, pomykające machinalnie stworzenie przez ogniwa najsubtelniejsze, niedojrzane, postępem powolnym ku coraz wyższym stopniom udoskonalenia w gatunkach tworów. Tém więcéj nie może być nagłym postęp dla duchów, bo wiadomość i doskonałość nie będąc owocem odpowiedniego doświadczenia, mocą cudu Boskiego, po śmierci ciała, bez zasługi nadane, straciłyby całą cenę i nie doprowadziłyby do szczęścia pochodzącego z przeświadczenia, iż na to szczęście, na rozwinienie wiadomości i ku dojściu do doskonałości, własnym trudem i doświadczeniem zasłużyły.

Duchy więc muszą przebywać świat pośredni, nim staną

się godnymi widzieć, wznieść się do przybytku boskiego, i zostać ogniwem pośredniczącém między Stwórcą i ciągłą kreacya, z własnodzielną myślą i czynnością.

Gdy takim wyobrażam sobie świat pośredni ku przyszłemu udoskonaleniu duchów, wyobrażam czyli powtarzam myśl od wieków krążącą. Zawsze mówiono od początku świata aż dotychczas o polach Elizejskich, o czyscu, o piekle o świecie pośrednim; jest więc to myśl z idei wrodzonéj, dążąca do rozwinięcia się istotnego i w prawdziwém świetle.

Osoby w stanie magnetycznego uśpienia będące, wszystkie mają przeczucie o świecie pośrednim; a stan magnetyczny lest niekiedy choć przez najkrótszą chwilkę objawieniem ducha. Magnetyzm zwierzęcy działa na organizm materjalny. Człowiek w magnetyzmie ciałem usypia: przypuszczać można, iż podobnie i zwierzę każde, przy pewném wytężeniu siły magnetycznéj, mogłoby usnąć. Lecz człowiek przy uśpieniu magnetyczném ciała, czuwa duchem i objawia się duchem. Objawienia te muszą być pomieszane z obrazami przez zmysłowość snującémi się na tle czucia organicznego, w marach i widowiskach ze świata zewnętrznego odbitych; prawda więc musi być pomieszana ze złudzeniem, widzeniom przeto ich osobnym wierzyć nie można; lecz o świecie pośrednim mówi każda osoba jasnowidząca, zgodna więc powszechność nadaje cenę i ważność temu objawieniu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

Wyjątek z listu z Krakowa.

Z d. 20. Lipca r. 1840.

. . . . Zapytujesz mię w ostatnim liście, czy dawno zwiedzałem groby naszych królów na Wawelu i żądasz odemnie wiadomości, w jakim się one stanie znajdują? Zwiedzałem je niedawno, — bo lubię zaglądać do grobów jak do historyi. Grób, w który ludzie postawili trumnę i zamknęli, podobny jest do otchłani przeszłości, w której głębią czas powrzucał czyny ludzi, jest to księga historyi, którą się czyta myślą — marzeniem. Dusza człowieka zadumanego nad grobami odgrywa w cichości fantazyą stworzenia, wciela się w rozsypane prochy i kości, i wnet one wstaną, okrążą ją i opowiedzią swego żywota upieszczą.

Ale jeżeli są chwile, w których człowiek z pewną tęsknotą lubi się zastanawiać nad grobami, nawet obcych mu, nieznajomych i zwyczajnych ludzi; jakże go namiętnie pociągać muszą ku sobie groby jego ojców i przodków, trumny, w których złożone popioły dźwigały niegdyś na swoich barkach gmach wielkiego narodu! Takiego uczucia doznaje Polak wstępujący w groby Wawelskie, stojąc przed olbrzymiemi trumnami przodków, jak olbrzymie było niekiedy ich życie! Prócz tego jednak uczucia podwajającego bicie serca i unoszącego myśl tęskną ku zagasłym gwiazdom przeszłości, zakrwawi mu się serce boleśnie, jeżeli te szczątki tyle uroku dla niego mające, zobaczy w poniewierce czasu — i ludzi!

Tak było niedawno, czas nie uszanował ciał i trumien tych ludzi, których żywot uszanować był zmuszony. Kilka trumien było prawie zupełnie zniszczonych. Lecz dziś jest wcale inaczéj, dziś nie zasępi się twe czoło podobném pastwieniem się czasu. Dziś wstępując w groby Wawelskie, wcale innego doznałem wrażenia.

Jeszcze w końcu roku zeszłego N. Król Saski sprawił i przysłał do Krakowa miedzianą trumnę dla Króla Augusta II.*), którego dawna trumna rozsypała się była. Przed kilku miesiącami kosztem N. Ferdynanda, Cesarza austryackiego, wystawiony został sarkofag kamienny dla Maryi Kazimiry Sobieskiéj, dłutowany przez P. Karola Ceptowskiego, nauczyciela rzeźbiarstwa w tutejszéj szkole technicznéj; i odnowione zostały trumny Władysława IV., jego żony Cecylii Renaty, tudzież Anny Jagiellonki, żony Stefana Batorego. Wykonanie tego polecenia powierzonem zostało Rezydentowi N. Cesarza Austryi. Oprócz trumny Augusta II., wszystkie inne postawione są pod tém sklepieniem, które swoim cieniem pokryło popioły Jana III., Kościuszki i Poniatowskiego.

Tutaj to, możesz myśl twoją zadumać i podnieść zapałem serce! Tu, w blasku pochodni przeglądającym się smutnie w czarnym marmurze trumny Sobieskiego, łamiącym się w złoconym napisie «Xiąże Józef Poniatowski» — jak gasnący dnia promień łamał się w falach Elstery, — w blasku, który pląsa po bogatych i pięknych ozdobach na ogromnéj trumnie Władysława, jakby po błyszczących dachach i wieżach Smoleńska, — w blasku, co daléj blednie i gaśnie na białym kamiennym sarkofagu Kościuszki, jak ostatnie pogodne i spokojne spojrzenie tego bohatera, zagasało na śnieżnym szczycie Alpy; dusza twoja rozrzewni się, myśl zanurtuje w głębinie świetnéj przeszłości, a oko twoje mimowolną łzą zapłynie! . . .

E. W.

*) Nastąpiło to w skutek przedstawienia A. G., obywatela miasta Krakowa, do Ministra Saskiego de Lindenau. *P. R.*

Doniesienia literackie.

Lucian Siemieński wraz z Bohdanem Zaleskim ma zamiar wydać przekład wszystkich (wybranych) pieśni słowiańskich. Igor jest gotowy; rękopism królodworski przekłada Siemieński na nowo, gdyż z dawnego przekładu (jak mówi) nie jest kontent — dumki ruskie także się zbierają — do dopełnienia pozostają jeszcze czeskie, słowackie, moskiewskie, i iliryjskie i t. d. — Cały zbiór obejmować będzie cztery tomiki.

Bohdan Zalewski ukończył teraz już całkowicie zebranie swoich poezyj; będzie ich jak już doniesliśmy cztery tomy; dwa tomy lirycznych ukraińskich dumek, dwa religijnych; — jak pierwsze są najmocniejszym kwiatem poezyi, tak drugie podnoszą umysł i ducha w najwyższą sferę. — Katolicyzm choć jest tam wybitny nie razi, bo płynie z pod głębi serca, bo człowiek wiary opowiada swe natchnienia. »To com z nich słyszał« pisze do nas jeden z najpierwszych pisarzy naszych »a słyszałem prawie wszystko, jest wyższém nad to, cośmy za najpiękniejsze w literaturze naszéj cenili; przez cztery dni, w których czytał mi te poezye byłem jak w gorączce, niepodobna bardziéj do duszy trafiać! jest to poeta w którym nie ma nic coby przypominało autora lub książkę.«

Breitkopf i Hertel ogłosili przedpłatę na nowe poprawne wydanie dzieł Krasickiego, pierwsze bowiem już całkowicie rozkupiono.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*